

GAZETA POLSKA

Prenumerata w miejscu miesię-
cznie złp. 4 Kwartalnie złp. 10
exemplarz gr. 6.

253.

Prenumerata na pro-
wincji z opłatą pocztową
złp. 18 kwartalnie

w Warszawie dnia 14 Września 1827 roku, w Piątek.

Giełda Warszawska dnia 13 Września 1827 r.

W e x l e				Kurant Polski.				Gotowe Pieniądze.				Kurant Polski.			
				Przedaję		Kupuję.						Przedaję		Kupuję.	
				złote.	gr.	złote.	gr.					złote.	gr.	złote.	gr.
AMSTERDAM,	za 100 R. Tal.	z term:	2 mies:	—	—	—	—	Złote Królewskie podwójne i pojedyn-				—	—	—	—
BERLIN,	„ 100 R. Tal.	„	2 mies:	605	—	603	—	cze, za 100 Złot. ważnych „				—	—	—	—
			a vista.	—	—	—	—	Imperjały, „ 1 sztuka „				—	—	—	—
GDĄSK,	„ 100 R. Tal.	„	2 mies:	—	—	—	—	Assygnaty Ros. „ 100 Rubli „				—	—	—	—
			a vista.	609	—	—	—	Dukaty Hol. stare, 1 sztuka „				20	12	20	8
HAMBURG,	„ 100 B. Tal.	„	3 mies:	915	—	913	15	Frydrichsдоры, 1 „ „				—	—	—	—
			a vista.	—	—	—	—	Pruski Kurant, 100 Złot: „				—	—	—	—
LIPSK,	„ 100 R. Tal.(m.k.),			630	—	—	—								
			a vista.	—	—	—	—	Papiéry.				pr.			
LONDYN,	„ 1 Funt. szt.	„	3 mies:	41	19	—	—	Listy Zastawne, za 100 Zł. białe bez				—	—	—	—
MOSKWY,	„ 100 Rub. assyg.	„	1 mies:	179	15	179	—	1go i 2go kuponu				4	—	—	83 10
			a vista.	—	—	—	—	Oblig: hip: skar: „ 100 Zł.				6	—	—	—
PARYŻ,	„ 300 Frank.	„	2 mies:	495	—	—	—	Assek: Skarb: 100 Zł. za listy zastaw:				—	—	90	—
			a vista.	—	—	—	—	Oblig: pragskie 100 Zł. ditto				4	—	90	—
PETERSBURG,	„ 100 Rub. assyg.	„	2 mies:	—	—	—	—	„ „ „ „ „ 100 Zł.				—	—	—	—
			a vista.	—	—	—	—								
WIEDEN,	„ 100 Zł. r. w 20-X.	„	2 mies:	—	—	—	—								
WROCŁAW,	„ 100 R. Tal. z term.	2 mies:	603	—	601	15	—								

— W A R S Z A W A. —

MY ALEXANDER I.
Cesarz Wszech Rosji, Król Polski
etc. et. etc.

Zapatrzywszy się na artykuł 46 ustawy konstytucyjnej królestwa naszego polskiego, jako też na postanowienie nasze o uszlachceniu z dnia 17 Czerwca 1821. r.

wca 1821. r.
 Po wysłuchaniu zdania deputacji senatu tym koń-
 cem ustanowionej;

Na rapport naszego niemiestnika w królestwie polskiém.

Chcąc uznać zasługi położone dla kraju przez IP. Karola Weisfloę podpułkownika dowodzącego trzecią kompanią artylerji lekkiej wojska naszego królestwa polskiego.

Postanowiliśmy udzielić i nadać jakoż niniejszym dyplomatem szlachectwa istotnie udzielamy i nadajemy temuż JP. Karolowi Weisflog dla niego i jego potomków prawych i w prostej linii tytuł i prawa szlachcica polskiego.

Chcemy aby odtąd używał prerogatyw do tej go-
dności przywiązanych, w całej ich obszerności i zu-
pełności.

Udzielamy prócz tego JP. Karólowi Weisflog i wyż
rzeczonym potomkom jego herb Pogrom to jest:

Na tarczy w polu czerwonym leży moździerz na łożu na ziemi stojącym otworem w lewą stronę tarczy obrocony, nad nim wznosi się korona złota o pięciu liściach z której wychodzą dwie na krzyż złożone gałązki, jedna laurowa ku lewemu, a druga palmowa ku prawemu brzegowi tarczy nachylone. Nad tarczą hełm zamknięty koroną złotą o pięciu liściach po nad którym znajduje się zbrojna raka a w niej szablę w pozycji do boju.

Udzielając niniejsze dyploma szlachectwa i herbu JP. Karólowi Weisflog, upoważniamy go wraz z potomstwem jego prawem, i w prostej linii, do zaszczytu.

camia się szlachectwem i używania pomienionego herbu tak jak inni szlachta naszego królestwa polskiego we wszelkich czynnościach prywatnych i publicznych wiecznemi czasy.

Dla większej wagi niniejsze dyploma własnoręcznie podpisując rozkazujemy pieczęć herbowa naszego królestwa polskiego na nimże przyłożyć.

Dan w Petersburgu dnia 27 Sierpnia (8 Lutego)
1820 roku.

(podpisano) ALEXANDER.
przez Cesarza i Króla

Rada stanu pełniący
obowiązki Ministra wojny
Generał dywizji

(podpisano) Hauke.

Minister Sekretarz Stanu

(podpisano) Jg. S o b o l e w s k i.

Zgodno z Oryginałem.

Radca Sekretarz Stanu, Jeneral Dywizji

(podpisano) K o s s e c k i.

Zgodno z wypisem;

W zastępstwie Ministra Sprawiedliwości

Radca Stanu. *M. Woźnicki*

Za Sekretarza Jeneralnego:

Szef bióra K. Hoffmann.

Dzień ogłoszenia dnia 30 Września 1827 roku.

Dyrekcja główna towarzystwa kredytowego ziemskiego

Z powodu znacznej liczby osób, które zgłosiły się po bilety wnijsia, na zebranie właścicieli listów zastawnych, posiedzenie to, zamiast w domu dyrekcji głównej, odbędzie się w sali ratusza, przy ulicy Senatorskiej, w sobotę dnia 15 Września roku bieżącego o godzinie 11 z rana oczem; dyrekcja główna interessowanych zawiadania. — Radca stanu prezes. *Kalinowski.* — Pisarz dyrekcji głównej. *Drawnowski.*

R O S S J A

z Petersburga dnia 1 Września.

J. C. M. W. Xiężna Helena powiła szczęśliwie xiężniczkę dnia 16 Sierpnia v. s. Z tego powodu wydał N. Pan następujący manifest:

M y z B o ż é j t a s k i

M I K O Ł A J I.

Cesarz i Samowładca Wszech Rossji etc. etc. etc.

Czynimy wiadomo wszystkim naszym poddanym.

Nasza ukochana bratowa W. Xiężna Helena małżonka ukochanego brata naszego W. X. Michała, powiła szczęśliwie dnia 16 Sierpnia Xiężniczkę, której dano imię Katarzyny.

Uważamy to pomnożenie naszej rodziny cesarskiej za nowy dowód błogosławieństwa, istoty najwyższej, dla nas i naszego cesarstwa. Donosząc o tem zdarzeniu, naszym wiernym poddanym, przekonani jesteśmy, że wspólnie z nami zaniosą do nieba modły o szczęście dla tej młodej Xiężniczki.

Rozkazujemy wszędzie dawać naszej ukochanej synowicy tytuł J. C. Mości.

Działo się w Petersburgu, dnia 16 Stycznia roku pańskiego 1827, a panowania naszego drugiego.

Dziennik petersburski donosi z Bukaresztu pod dniem 30 Lipca, co następuje:

»P. Menciaki przybył tu onegdaj ze Stambułu z całą swoją rodziną i kilkoma urzędnikami należącymi do jeneralnego konsulatu. Przyjęto go i wprowadzono do miasta z honorami zwyczajnymi, wielu pierwszych bojarów wyjechało było naprzeciw niego o kilka mil za miasto. P. Menciaki stanął tymczasowo w domu, w którym mieszkał sprawujący interesa konsula. Wczoraj dnia 29 wszyscy bojarowie, mając na czele swoim metropolitę oddali mu wizytę.»

(z Dzien. Peters.)

F R A N C J A.

z Paryża dnia 3 Września.

Ukończone już niemal zupełnie prace około obozu w S. Omer sprawiają widok spaniały i bardzo malowniczy. Ustawiona broń oznacza front chorągwi. W Centrum usypany został okop, przykryty darniami, na którym się znajdują wykute z kamienia trofea, które jakkolwiek są dziełem podoficera przyniosłyby jednak zaszczyt najlepszemu artyście paryżkiemu; naprzeciw tych trofeów wznosi się ołtarz, przed którym odprawia się co niedziela nabożeństwo. O 50 kroków od ołtarza stawiają barakę królewską. Za prawem skrzydłem linii wystawiono warownię, która kosztowała 3 miesiące pracy. W obozie stoi 14,000 piechoty i 3,000 jazdy artylerji i inżynierów. Przeszłej niedzieli obwiedziono linią 700 kroków przestrzeni do koła, otoczyły je pułki, a w środku onego odbywały się rozmaite zabawy wojskowe, jak fachtowania, wyścigi i tym podobne. Szczególniejszą uwagę zwróciły dwie kompanje żołnierzy biskajskich, które odbywały wszelkie obroty na szczytach, dla komicznego kontrastu dano im za dobosza ośmioletniego chłopca bez szcudeł, a powaga jego obok wysobich biskajczyków rozsmieszała każdego. Po Biskajczykach manewrowali żołnierze z Normandji, którzy okryci po szyję workami, komiczne obroty odbywali. Tańce narodowe zakończyły tę zabawę.

— *Gazeta Francji* donosi z Madrytu pod dniem 23 że Don Pedro z córką swoją do Lizbony już przybył, ale wiadomość ta zdaje się być wieścią zmyśloną.

— Sąd appellacyjny zmniejszył karę pięcioletniego więzienia do lat dwóch P. Mobrenjil, który dopuścił się był wiadomej obelgi na osobie X. Tayllerand.

— Policja zabrała z xięgarni rys historyczny pogrzebu Pana Manuel.

— Znajdujący się w Paryżu Ozagowie nie są wcale Indianami, ale należą do pierwszych mieszkańców północnej Ameryki. (G. B.)

List pewnego rodaka.

z Chamaunix w Sabaudji d. 19 Lipca 1827.

Po dosyć długim tedy pobycie we Francji, umyśliłem zwiedzić niektóre inne kraje. Obratem sobie drogę przez Burgundją do Sabaudji. Naprzód płaszczyzny dozwalały mi widzieć okolice na wszystkie strony daleko się rozciągające, następnie coraz większe wzniosłości, kazały wnosić, że już się przybliżam do pasma gór Jura. Przebyłem je wreszcie, a spuszczając się z ich ostatnich pagórków, ujrzałem Szwajcarją. Jeszcze nieprzeszedł granic Francji, jeszcze miałem pół godziny drogi, kiedy mnie powitały wspaniałe Alpy. Po raz pierwszy to na nie patrzyłem; i kiedy rozróżniam ciekawym okiem te dziwne kształty, ogromna Mont-Blanc wychyla z za ich wierzchołków oświatała wiekami głowę, aby także powitać wędrowca. Z tej strony ziemia szwajcarska zbyt jest szczupła, zaledwie okolice Genewy pozwalają mi nazwać Szwajcarją, tę krainę którą widzę przed sobą, gdyż o kilka mil już jest Sabaudja. Stałem w Genewie, owęj stolicy zegarków. Tysiące razy powtórzone w dziejach imię tego miasta, czyni je jednym z najciekawszych. Wielu to sławnych ludzi urodziło się w Genewie: wielu ja sobie zamierzanie obrało! Jej okolice ilekroć zajmowały uwagę największych pisarzy! Tu się urodził J. J. Rousseau, tu w swoim Fernay mieszkał Voltaire; tu nowe formy rządu z łona średnich wieków zjawily się światu: tutaj była stolica protestantyzmu; tu dzisiaj jest skromne miejsce zabaw, licznie przybywających na mieszkanie cudzoziemców. Ci, którym zabawy w świetnym Londynie, lub Paryżu utraciły powaby, których oczy nasycił już widok pięknej Szwajcarji, których znudziły wspomnienia dawnych Rzymian potęgi; szukając po świecie przyjemności, jakich tylko za pieniądze nabyć można, udają się na koniec do skromnej Genewy, i tam wolne od zatrudnień życie przepędzają. Domyślisz się że mówię tu o Anglikach, którzy całemi familjami przenoszą się do Genewy, i tak tam żyją jakby się znajdowali w swojej ojczyźnie; z tą tylko różnicą, że łagodniejsze powietrze, zachwycający widok okolic, i bliskość miejsc najpiękniejszych w świecie, bliskość zarazem Włoch i Francji, w każdej chwili prawie zaspokoić mogą ciekawość Anglika, i dogodzić jego niewinnym cnotliwej duszy dziwactwom. Siadłem tu na statek parowy, i w przeciągu dwóch dni opłynąłem brzegi genewskiego jeziora zwanego od Woltera najpiękniejszym w świecie. Niebo nie ma prawie tak błękitnego koloru jak wody tego jeziora. Widziałem te skały na których St. Preux pisał swój list (jeżeli pisał) poglądając zdaleka na mieszkanie Julji; widziałem Montreux, i wszystkie inne miejsca unieśmiertelnione w Heloizie; na tém samém jeziorze pływała łódka bohatera Jana Jakóba. Co do mnie, byłem w cokolwiek innym przypadku. Będąc sam jeden, z początku dumałem, i dumałem, patrzyłem to tu, to ówdzie; ale mnie

zazdrość wzięła że inni oprócz patrzenia i dumania, komunikują sobie nawzajem myśli swoje. Powoli więc przywiązałem się do kompanii pięknych dam angielskich, lecz na nieszczęście jedna z nich tylko umiała po francuzku, a to tak jeszcze, że ledwie ją można było rozumieć. Prócz tego była stara, lecz wczem ją wiek i natura upośledziły dla oka, to sto-krotnie nagradzał rozum i nauka. Rada była poznać Polaka, bo Anglicy równie kochają nasz naród jak Francuzi. Zdziwiłem się, że jej dobrze były znajome nie tylko imiona Poniatowskiego, ale Batorego, i Chodkiewicza i Żółkiewskiego.— Szaniuję Polaków, mówiła mi, bo ich znam, chociaż WPan jesteś pierwszy Polak którego osobiście poznałam. Jednak ani ja ją, ani ona mnie o nazwisko niepytała. Piękne albijońskie dziewice przyjemnie także słuchały tłumaczenia grzecznego dragomana, który przez kilka godzin ciągle pracował, mnie tłumacząc na francuzki, a im na angielski. Rzecz szczególniejsza, że Anglicy i Angielki zawsze podróżując po obcych krajach, nie tylko nieumieją języków używanych w ziemiach które zwiedzają, ale nawet mało kto z nich umie po francuzku. Teraz nie jest to jeszcze tak rzadka rzecz, ale zawsze dziwaczne wymawianie zanglizowanych wyrazów ledwie daje poznać jakim językiem mówią. Rozstawszy się z przyjemną dla mnie kompanją, zabawiłem jeszcze dni kilka w stolicy nauki Kalwina, i ruszyłem do Sabaudji. Dopóki można było jechać, jechałem. Pojazd zatrzymał się przy *Arpenas*, a pa-szuszkwowie jacyś, czyli innego rodzaju chłopczyki brudne i obdarte, oświadczyły, że jeżeli zapłacę franka, usłyszę rzecz nader szczególną. Ja chętnie przystałem na to. Chłopczyki nabiły małą armatkę, i wystrzeliły. Przez kilka chwil mniemałem że szkoda mego franka; ale nagle skaliste góry powtórzyły wystrzał raz, potem drugi raz słabiej lecz bardzo daleko, i znowu ucichło; myślałem że to koniec, lecz po dłuższej niż pierwój chwili, zagrzmiało, choć na niebie niebyło żadnej chmury; w przeciwną stronę powtórzył się głos z jeszcze większą mocą; potem razporaz to słabiej to mocniej, góra górze odpowiadała, dopóki słabnący głos nie umilkł, i ostatniem huknieniem słuchającego niepożegnał. Podziękowałem chłopczykom i nigdy niezapomnę sławnego echa w *Arpenas*. Mówią że u stóp góry *Jungfrau* echo wystrzału jeszcze się dłużej i mocniej powtarza; zobaczę. W tém samym miejscu jest ciekawa grotta; ale mnie szczególniej zajął widok kaskady. Ani ona jest wielka, ani z bardzo znacznej wysokości spada; lecz właśnie dla tego że jest mała, staje się dość rzadkiem zjawiskiem. Może w Szwajcarji znajdę ciekawsze; póki zaś ich widzieć niebędę, ta októrej mówię, musi być najgodniejszą wzmianki. Skała ogromna wysokości 900 stóp stanowi wyższą połowę góry, i od samego wierzchołka aż do dołu, jest jak ściana prostopadła. Z wierzchołka spada raptownie woda, a spadając nie obmywa ściany skały, lecz nakształt bystrego potoku, chcąc, że tak powiem, jej krawędź przeskoczyć, niknie w powietrzu: rozdziela się na coraz drobniejsze kropelki, tworzy jakąś mgłę, która posłuszna powiewowi wiatru, zwolna spada na tę stronę gdzie on ją uniesie: tam dopiero łączą się z sobą rozdrobnione kropelki i tworzą potok. Tym więc sposobem, zamiast coby miała spadać kaskada prostopadle, niknie, i gdzieś tam z boku o kilkanaście łokci znowu się ukazuje. To nowe

koryto, niedługo służy odrodzonemu potokowi; dość aby wiatr zawiął z przeciwną strony; mgła spadająca z krawędzi unosi się daleko i na suchem miejscu przemienia się w potok. Z większą masą wody wiatr niemógłby tak igrać; kaskada byłaby chojętnem zjawiskiem dla podróżnika. Przypatrywszy się tej osobliwości, pojechałem o milkę do *Sal-lenche*, które choć nie jest wcale ciekawem miejscem, godne być musi wspomnienia, bo już stąd trzeba iść piechotą do sławnej doliny Chamaunix, skąd właśnie ten list piszę. Jest tu wprawdzie mała drożyna dla bardzo lekkich wózków, lecz wygodniej jest iść, niż wlec się powoli po złej drodze z góry na górę, przez kamienie, potoki, patrząc na męki nieszczęśliwych koni smaganych bez litości przez nieczułego woźnicę. W ciągu całej dwunastogodzinnej podróży z Genewy do Sal-lenche, Mont-Blanc nieznikała mi z oczu, lecz owszem coraz wspanialej odkrywała swe olbrzymie wdzięki. Już się miało ku wieczorowi, kiedy z tłomoczkiem na plecach, i z okutym kijem czterolokciowym w ręku, poszedłem do Chamaunix (bo wysłałem rzeczy moje pocztą z Genewy do Lucerny, dokąd postanowiłem odbyć podróż piechotą). Ponieważ tego samego dnia niepodobna mi było przybyć do Chamaunix, zmierzałem na nocleg do Servoz, małej wioski w pół drogi leżącej. Widziałem czego nigdy niezapomnę, co na dziesięciu podróżnych za ledwie jeden widzieć może w całej okazałości, to jest zachód słońca na Mont-Blanc. Tego niewyda ani pędzel malarza, ani pióro poety: niewolno kopiować cudów natury; sztuka karłami krokami niezdolna się wedrzeć tak wysoko, musi ze wstydem pozostać na swoim miejscu, powtarzać co milion razy powtórzone, malować motylki i wiosenne kwiatki. Ani ty wimaginacji przypuścić możesz byt do tego stopnia wspaniałej piękności, ani ja zdolny jestem opisać co zatrzymała pamięć; pamięć zbyt jest niedołężna aby mogła umysłowi przedstawić pełne rysy czarodziejskiego obrazu: a pióro moje, słabe pióro! za ledwie zdoła odmalować jakowyś cień piękności w umyśle obecnej. Oto z tej strony widzialny jest trójgrzbietny wierzchołek góry, wyższą połowę okrywają odwieczne śniegi, niższą zaś do podnóża, gdzie niegdzie odwieczne lody, gdzie niegdzie czarne jodły i skały. Kiedy szedłem do Servoz ostatnie promienie słońca padały na Mont Blanc. Na szczycie białość śniegów przybrała kolor żelaza rozpalonego w mocnym ogniu, cała zaś syberyjska strefa zdawało się być podzieloną na wiele poprzecznych pasem. W miarę usuwających się z widnokręgu linji siedmiorakich promieni, części śnieżyste góry coraz inny przybierały kolor, w miarę słabnącego ich blasku, mniej żywe, lecz niemniej wspaniałe zjawiały się odmiany. Zachwyca nas widok uśmiechającej się lub okropnej piękności, ale na taką piękność rzucamy okiem rozpatrując się w jej wdziękach, oko ma czas ogarnąć ogół i wnikać w szczegóły które składają tę całość: tutaj zaś przedmiot jest martwy, pozbawiony wdzięków; w pogodne tylko wieczory letnie słońce obiera to miejsce opuszczone od natury, aby na niem wystawiło obraz jakiego skąpi ulubionym sobie regionom. Potrzeba więc korzystać; jeżeli na chwilę odwrócisz wzrok winną stronę, już nieobaczysz tego cobyś mógł widzieć: słońce na ciebie nie czeka, ale z niższych pasem góry przenosząc te kolory które je zdobiły przed chwilą, powtarza ich mieniącą się barwę w wyższych strefach, a na-

tomiasz dolnym pasmem udziela nowych i niewidzialnych detąd kolorów: posuwa się coraz wyżej, wiedzie aż na wierzchołki, aby potem stracić ze szczytu ten blask przemijający, który stopniami kształcił się, przekształcał, wznosił się i ku niebu dążył; wreszcie zajaśniawszy na najwyższym szczyśle, w nicłość się zamienia... Toż to jest granica złudzenia! toż to jest kres za którym złudzenie widzimy tem czem jest rzeczywiście, to jest nicością! a więc tam się poczyną sfera prawdy! — słońce nie stradało swych promieni; one tylko miały być rzeczywiste, byt zaś tych dziwnych zjawisk, jest złudzeniem, na fonie nicości rodzącem się, i w nic zamienionem; aby potem znowu z nicości byt złudzenia powstawał, niknął, i miliony razy swój obraz powtarzał na tle iakowych śniegów Mont Blanc. Ach! jaka to przestrzeń rozdziela wyobrażenie góry i słońca! ona tak wielka dla oka, słońce tak małe; lecz gdy rozumem nie zmysłami uczynię porównanie, czyli to co me oczy widzą nazwę prawdziwem, czyli to czego widzieć niemogę, lecz co umysłem dosięgam? Dolinom udziela słońce i światła i ciepła, wszystko życiem obdarza; rośliny i zwierzęta rodzą się, żyją i umierają, aby swe kształty miliony razy powtarzały: wszakże i na Mont-Blanc widzę też samą kolej bytu zadziwiających mnie zjawisk? byliby podobny byt owych widział, do bytu roślin i zwierząt? Nie; to są żyjące istoty, a to tylko cienie: Bóg stworzył istoty, a istoty tworzą cienie gdy na nie słońce uderzy. Mont-Blanc gorąco ponad Alpami, i tym, które rozkazują dolinom, sama rozkazuje: ale się jej wyrzeka natura; żadnych nieudziela dobrodziejstw; a na patrzącą dumnie w niebiosa, wśród wiecznej zimy spadając śniegi, domyślić się nawet niedozwalają, gdzie jest rzeczywiście najwyższa warsta ziemi którą śnieg pokrywa? jak wielka jest obiętość śnieżystej powłoki? A więc patrząc tylko na najbliższe jej strefy gdziekolwiek drzewami okryte, wnosiśmy, że ona do ziemi należy. W dolinach wszystko żyje, a na tej górze ani ptak przeleci, ani zwierzę szuka schronienia, ani owad, ani się płaz najpóźniejszy nie legnie; bo zaledwie przez kilka chwil ciekawy badacz może oddychać na samym wierzchołku. Jestto obraz uzmysłowionej śmierci, panującej nad znikomymi cieniami, która tylko kształt mają, i wiecznie zjawiając się i niknąc, są jedynie przedmiotem podziwiania obcego przychodnia zwiędzającego doliny Sabaudji. Słońce użycza dolinom rzeczywistych darów, i jeszcze te dary w czarodziejską szatę złudzenia przyodziewa, kiedy wierzchołek Mont-Blanc wyzuty z wszystkiego co byt ziemski stanowi, jest tylko polem igraszk promieni słonecznych, i igraszk, która samej górze nie przynosi żadnej korzyści. Przez całą godzinę musiałem patrzeć, a w tym przeciągu czasu, jak w imaginacji ludzkiej, tworzyły się, kształciły, i niknęły rozmaite postaci: jak imaginacja dowolnie tworzy pasmo ludzających wyobrażeń z pewnego przedmiotu, kiedy przestaniemy nań patrzeć okiem rozumu, tak tutaj, był tylko jeden przedmiot od natury opuszczony, a tyle pięknych i zdumiewających cieniów. Wreszcie zaszło słońce; patrzyłem ciągle: tu i ówdzie błyskały iskierki niebieskich światel, powoli coraz wyraźniej jaśniały; droga mleczna zaległa sklepienie; a Mont-Blanc ogołcony z szat którymś ja odziało zachodzące słońce, stanęła przed memi oczami taką jaką mi ją rozum wystawiał wtenczas jeszcze, kiedy czarowała świat swemi powabami. Przedmiot mojej uwagi zdawał się być wielki pierwsi, a teraz myśl moją pogardza, bo chce wyżej sięgnąć. Jakże ja mam myśleć o ziemi, jak mam na nią patrzeć, kiedy jej nie widzę, bo noc wszystkich okrywa; wszystkie zmysły moje są nieczynne, oko tylko podniesione do góry widzi ogrom światów? Sąż te gwiazdy takimi, jakimi je widzi oko moje? Nie, tak jak zachodzące słońce nie było mniejsze od Mont-Blanc.

M. P.

WIADOMOŚCI NAUKOWE.

SYNONIMA.

Kochanek, miłośnik, lubownik.

Kochanek używa się wyłącznie względem osób; miłośnik względem każdego przedmiotu w najobszer-

niejszem znaczeniu miłości; lubownik względem wszystkiego, co może być przedmiotem szczególniejszego upodobania.

We względzie osób i namiętniej miłości, kto kocha, kocha się, lub jest kochany, nazywa się *kochankiem*: kochana osoba, nie będąc mu jeszcze wzajemną, może go tylko nazwać swoim *miłośnikiem*; a sądząc się przezeń być tylko lubioną, swoim *lubownikiem*. W tém znaczeniu nikt sam nie powie, że jest *miłośnikiem* albo *lubownikiem*; bo woli uchodzić za *kochankę*; lecz mówić to o kim mogą inni ludzie, według różnego uważania miłości jego.

Kto raz uznanym został za *kochankę*, zawsze nim pozostanie nawet bez wzajemności swojego przedmiotu; kto uważanym jest za *miłośnika* albo *lubownika*, potrzeba mu koniecznie pozyskać wzajemność, aby się stał *kochankiem*. Ztąd *kochanka* i kochaną przezeń osobę, czyli *kochankę* nazywamy *kochankami*; w żadnym zaś przypadku nie możemy ich nazwać ani *miłośnikami* ani *lubownikami*: bo w takim razie musieliby sobie być wzajemnymi, przez co staliby się już *kochankami*.

W znaczeniu czynnem, prawdziwy *kochanek* jest tylko jednej osoby, lekkomyślny wielu; w znaczeniu biernem można bez lekkomyślności być wielu osób *kochankiem*. Paweł jest prawdziwy *kochanek*, bo kocha tylko Basię; gdyby kochał Basię i Kasię, byłby lekkomyślny; wszelakoż kochany od Basi i Kasi może lekkomyślnym nie być.

Miłośnik i *lubownik* we względzie namiętniej miłości źle zwykle uważani bywają; a tém gorzej, gdy te wyrazy ściągają się do jednej, lub wielu poszczególnie wymienionych osób. Natędy wyraz *kochaniec* jest im bliskoznaczny; który nie używa się jak tylko w poufale albo gminnym sposobie mówienia.

W każdej innej miłości co do osób, *kochanek* zawsze jest bierny. Wyrazu tego używa tylko starszy względem młodszego przez siebie kochanego. Częstość starszy, chociaż nie kocha młodszego, lecz w szczególnych względach niego zostaje obowiązkiem, a nawet czasem przez samą powagę swojego wieku, kiedy mu grozi, przestroge lub napomnienie daje, przemawia do niego: *kochanku*!

Miłośnik kochając, *lubownik* lubiąc kogo, zawsze mają znaczenie czynne: atoli rzadko kiedy używają się względem szczególnych osób, lecz najczęściej względem ich rodzaju, który się wyraża bąc przez imię zbiorowe, bąc przez liczbę mnogą; n.p. *miłośnik* płeć pięknej, kobiet; *lubownik* młodzieży, dzieci, i. t. p.

Co do innych przedmiotów nie osób, wyrazu *miłośnik* używamy względem każdej rzeczy, którą kochamy, lub względem takiej, którą kochamy i kochać się w niej możemy; względem zaś rzeczy, której nie możemy kochać, tylko się w niej kochać, czyli bardzo, szczególnie ją lubić, używamy wyrazu *lubownik*.

Miłośnikami jesteśmy wszystkiego, co dobre, piękne, wyborne, bąc to w moralnem, bąc estetycznem znaczeniu; *lubownikami* zaś tego, co miłe, lubie, przyjemne; co takimże sposobem działa szczególnie na nasze zmysły. Tak jesteśmy *miłośnikami* ojezyny, enoty, sztuk nadobnych, pracy; a *lubownikami* myślistwa, koni, pieniędzy, mody, i. t. p.

Kochanek spieszcza się (*kochaneczek*) zawsze w dobrem; *miłośnik* (*miłośniczek*) zawsze w złem znaczeniu. *Lubownik* nie ma spieszczonego wyrazu (*lubowniczek*): bo pieszczący albo pieszczony, staje się *kochankiem*.

Wyrazom: *kochanek* (*kochaniec*), *miłośnik*, *lubownik*, uważanym w znaczeniu rozpusty, odpowiadają żeńskie imiona: *kochanica*, *miłośnica*, *lubownica*; i w znaczeniu zaś uczciwości, moralności i dobrego smaku: *kochanka*, *miłośniczka*, *lubowniczka*. O jak słodko brzmią te wyrazy! Bodajby nie było innych! a natędy płeć piękna byłaby nią w całym znaczeniu piękności.

X. Bo.....

Widowiska w Stolicy.

Menażeria zwierząt i gatów Pana Dinter, na placu za ogrodem Krasińskich.
Gabinet figur woskowych, w sali Towarzystwa dobroczynności

Do dzisiejszej Gazety, załączony jest Ner 109 Dziennika Obwieszczeń.